

“Dziki serce”

Ta książka jest dopalaczem. Przede wszystkim dopalaczem wyobraźni. Żyjemy w nudnych czasach procedur i dyskusji. One mają rozwiązać wszystkie problemy. Nie rozwiązują. Tymczasem John Eldredge zabiera czytelników w góry Kolorado i na kajakowe spływy rwącą rzeką, zaciąga nas na wojnę z całym światem i słabym ciałem. Tę motywacyjno–religijną książkę czyta się jak przygody Tomka Wilmowskiego w krainie kangurów. Opowiada o świecie mitem, tworząc jego spójny obraz. Czyni rzecz niemożliwą. Zabiera nas od biurka, z zamkniętych osiedli i volkswagenów w dzieciństwo, wakacje u babci na wsi, gdy biegaliśmy po polach i lasach z patykiem zamiast karabinu, w chłopięce marzenia o byciu ważnym. Jest obietnicą ciekawego życia. Co więcej, życia prawego, zgodnego z duchem chrześcijańskich przykazań. Nie sposób się oprzeć. Księgowi i informatycy stają się jeszcze raz rycerzami, ale najpierw...

W tym dziecięcym rajku utraconym ktoś popełnia nam grzech pierworodny. Czyni w tym świecie pierwszą rysę, która potem stanie się pęknięciem, szczeliną, a na koniec doprowadzi do jego całkowitego rozpadu. Tym ktosiem jest ojciec. To on uczyni ranę synom i córkom. Synom, bo go nie będzie, opuści rodzinę, będzie dużo wyjeżdżał, wróci zmęczony, pijany, znudzony. Wreszcie powie coś przykrego, żeś miękki, niezdara i pedzio. Nie pokaże im, jak być mężczyzną. Córkom, ponieważ ich nie doceni, nie zauważy, nie powie, że są ładne. Skrzywdzone dzieci po raz pierwszy odczują, że są niepełne, że brakuje im. Stracą dziewczęcą pewność siebie. Dorastając będą martwić się, czy mają wszystko, co potrzebne, czy są wystarczająco dobre.

Młodzieńcy wkrótce odkryją swój urok, aby podrywać dziewczyny, jedną za drugą, albo robić karierę i kolekcjonować banknoty. Będą szukać potwierdzenia, że są prawdziwymi mężczyznami, że mają wszystko w porządku. Dziewczęta będą wdzięczyć się do lustra i chłopaków, aby jeszcze raz, tysięczny raz poczuć, że są ładne. Oczywiście nie napełnią się sobą nawzajem. Nie można nasycić się drugim człowiekiem. Można za to znaleźć kredyt, etat i wycieczki all inclusive. Jasne, że czasami zaszaleją, pojedą do Tajlandii zamiast do Egiptu, będą uprawiać triathlon lub ultramaraton, ale wszystko w granicach rozsądku wyznaczonego przez obowiązki rodzinne i zawodowe. Kompromis. Wielu z nas to naprawdę wystarczy do dobrego życia, ale nie autorowi książki.

On żąda o wiele więcej. On chce całego życia, aby stawiać go na szali, powierzyć prawdziwemu Ojcu, który sam jeden i tylko on może wypełnić ranę i skleić świat z powrotem. Nadać mu sens. To w relacji z Nim, a także w samotności na przyrodzie i w towarzystwie innych facetów, chłopak stanie się mężczyzną i dopiero potem może pójść do Ewy, aby jej tę siłę zaoferować. Rozumiejąc, że nie zaspokoi jej nigdy. Tego nie może oczekiwać, ale nie powinno go to zniechęcać do dawania wszystkiego, co ma. Och, jak **świetnie** się to czyta. Eldredge pisze natchniony, cudownie uwodzi, utrzymuje napięcie, przedstawia religię jako największą przygodę życia. Krótkie opisy przyrody, tylko tyle, ile niezbędne, aby wzbudzić upragnione poczucie niebezpieczeństwa.

Ta żarliwość wystarczy, aby rozniecić wyobraźnię i poczuć nudę wielkomięjskiego życia, ale czy wystarczy, aby zmierzyć się ze światem? Ta książka jest poprawioną wersją „Fightclub”. Polecam lekturę pamiętając, że ona sama nie przesuwa nas nawet o centymetr do przodu ani w górę, ale już rozpalona nasza wyobraźnia oraz wiara, niebezpieczne w swej gwałtowności owszem to potrafią. Znowu wiatr we włosach, cóż z tego, ze siwiejących. Zresztą kim bylibyśmy bez tej wiary i bez tej wyobraźni? Taoistycznymi wieśniakami przyjmującymi kolejną mityczną opowieść z zupełną obojętnością.

Wrzesień 2020